



JON

Dla mnie świat narodził się wtedy, gdy fanki mdlały na widok Sinatry, Presley kołysał biodrami, Beatlesi śpiewali *She Loves You*, a Stonesi popisywali się swoją zawadiacką pewnością siebie. Reszta po prostu przyszła sama.

Od początku ery rock and rolla bycie członkiem albo przyjacielem jakiegoś zespołu przyprawiało o dreszczyk emocji. W grupie człowiek zawsze czuje się niezwyciężony. Dlaczego? Bo wie, że znajduje się pośród braci, kompanów, członków paczki. A jeśli komuś nie brakuje odwagi albo wiary, staje się Gwiazdą Rocka.

Każdy muzyk, który osiągnął sukces, powie ci, że zawdzięcza to talentowi, pracy i pewności siebie, bo właśnie te składniki połączone w równych proporcjach tworzą magiczną formułę. Oczywiście na każdym szczeblu kariery doświadczą się wzniołości i upadków, ale z upływem czasu stają się one tylko wspomnieniami i gdy patrzysz na nie jak na stare zdjęcia wyjmowane z szuflady w czasie Bożego Narodzenia, wszystkie dawne rany bolą już znacznie mniej, a historia nabiera nowych barw.

Dobry zespół nie może istnieć bez chemii. Sinatra miał Tommy'ego Dorsey'a, a potem Nelsona Riddle'a. Co tam, miał całe Rat Pack*. Elvis miał swojego D.J. Fontanę, Scotty'ego Moore'a, a później

* Nieformalna grupa składająca się z amerykańskich aktorów i piosenkarzy z lat 50. W jej skład wchodził między innymi Humphrey Bogart, Lauren Bacall, Judy Garland, a także wspomniany Frank Sinatra.